

I

Jaczewoj

Roziskrzzone drobinki śniegu przeglądały się w ostrych promieniach słońca, które dziarsko wyglądały zza grafitowych obłoków. Chmury piętrzyły się ponad wierzchołkami drzew i zwiastowały nadciągającą z północy śnieżycę. Roztańczone płatki trącane przez delikatne powiewy wiatru wesoło wirowały, wzlatywały w górę i kręciły się niespiesznie w powietrzu. Znużone tańcem kleiły się do jasnych rzęs, kryły się w miedzianych włosach gotowe przytulić się do rozgrzanego karku mężczyzny, który niewzruszony przenikliwym zimnem ścisnął w dłoniach ciężką siekierę. Skupiony na pracy naprężył skryte pod płócienną koszulą mięśnie ramion przy każdym kolejnym zamachnięciu, a na jego skroniach perlił się pot. Rytmiczne rąbanie dudniło na podwórzu otulonym białym puchem, a kolejne szczapy rozpołowionego drewna lądowały na dużej stercie.

Potrzebowali sporego zapasu, żeby dotrzeć do wiosny. Marzanna rozgościła się na ich ziemiach znacznie szybciej, niż się spodziewali, i przysypała śnieżną kołderką lasy oraz łąki, ścisnęła chłodem Leszygród, a wody Czerwonej Zatoki skuła lodem.

W wyobraźni Jaczewoja rozścielił się obraz długich wieczorów spędzonych przy palenisku. Pragnienie było tak przyjemne, że mężczyzna pozwolił mu trwać dłużej niż tylko jedno mrugnięcie powiek. Owładnięty marzeniem poczuł pokrzepiające ciepło na sercu, a chęć powrotu do domu głośno zawołała w duszy. Otarł rękawem wilgotne czoło i z satysfakcją powiódł wzrokiem po stercie drewna. Wykonał znaczną część pracy na dzisiejszy dzień i mógł odpocząć. Nie czekając, wyprostował plecy i odłożył siekierę na bok. W pamięci zachował myśl, że musi ją jutro porządnie naostrzyć, jeśli chce, aby praca szła sprawnie. Wziął kilka szczap ułożonych w wiklinowym koszyku i skierował kroki na wydeptaną w śniegu ścieżkę, która prowadziła w stronę domu.

Niewielka chata, którą postawił z pomocą przyjaciół na zgliszczach starego budynku, zaznaczała się wyraźnie na tle drzew. Przez ostatnie dziesięć wiosen las rozrósł się i stworzył gęstą ścianę, która osłaniała domostwo od tyłu. Bór konkurował jedynie z płaczącą wierzbą, która pełna wigoru odbiła od zwęglonego pnia po tym, jak przed laty trafił w nią grom Peruna. Długie gałązki zuchwale zaglądały teraz w okna, ale latem dawały przyjemny cień. W dni, gdy latawiec psocił w okolicy, szumiały przyjemnie, a w szeleście liści można było usłyszeć ukryte słowa. Mieszkańcy chaty z ochotą się w nie wsłuchiwali, natomiast w bezwietrzne dni sami snuli historie wyszeptane ze wspomnień, lecz dziś miała rozpocząć się zupełnie nowa opowieść, której nikt się nie spodziewał.

Utkana z tęsknoty na ośniewie miłości i domowego ciepła, które pojawia się w ten szczególnie czas, jakim są Szczodre Gody.

Wszechobecna cisza napawała mężczyznę spokojem, była idealnym schronieniem przed wścibskimi spojrzeniami ludzi, którzy niechętnie zapuszczali się w tę okolicę w obawie przed dziką zwierzyną, rozbójnikami oraz leszym, który sprawował pieczę nad tymi terenami. W czasie, kiedy mrok przejmował władzę nad światłem, a noc stawała się długa i ciemna, powodów do strachu było znacznie więcej. Mieszkańcy portu, którzy spotykali się w karczmie, opowiadali, że w sercu lasu można spotkać bezwzględną panią zimy. Podobno Marzanna samotnie spacerowała po ośnieżonym lesie i wyczekiwała na zbłąkanego człeka. Tu słowa opowieści przywoływały rozmaite obrazy, ale nie było

osoby, która mogłaby poświadczyć o ich prawdziwości, gdyż jeszcze nikt nie zdołał powrócić ze spotkania.

Jaczewoj, delektując się spokojem, uśmiechnął się i wszedł do chaty. Przyjemny zapach żywicy roztaczany przez jodłowe gałązki zawieszzone pod powalą od progu wypełnił nozdrza mężczyzny. Przywołał przyjemne wspomnienia sprzed dziesięciu lat, gdy poznał swoje przeznaczenie. Obrazy z przeszłości niczym fala szarpnęły za wrażliwe struny duszy i niespodziewanie wypełniły serce nostalgią. Dobrze pamiętał, że sporo natrudził się, aby udowodnić swoją miłość i przekonać ją do siebie. Nie było to łatwe. Nawoja należała do dziewczyn, które śmiało wypowiadały swoje zdanie i marzyły o przygodach. Rozejrzał się po izbie, lecz przywitała go tylko cisza. Wybudzona tęsknota za żoną opłótła się wokół ramion i ścisnęła za gardło. Szybko odsunął od siebie lęk, nie chciał, żeby zakorzenił się w sercu. Zbliżał się czas radości, rodzinnych spotkań i Jaczewoj zamierzał cieszyć się tymi chwilami. Odstawił kosz z drewnem i niespiesznie podszedł do paleniska, skąd biło przyjemne ciepło oraz aromat duszonych grzybów. Zamieszał drewnianą łyżką w kociołku i przymknął powieki. Zapach przywodził na myśl czasy dzieciństwa, kiedy wracał do domu z policzkami zaczerwienionymi od długiej zabawy na śniegu. Matka z radością witała go od progu i stawiała przed nim na stole miskę parującej zupy. Sama siadała na ławie naprzeciw i z czułością spoglądała, jak synek pochłania z apetytem całą porcję. Jaczewoj otworzył oczy, a uśmiech wypełził na jego usta. Iskierki rozbłysły w zielonych tęczęwkach, gdy dostrzegł niespodziewany ruch w kącie izby. To stara kocica wyskoczyła niespodziewanie zza sterty drewna i zbliżyła się do mężczyzny. Próbuąc zwrócić na siebie uwagę, okręciła się wokół jego nóg i głośno zamruczała. Niezadowolona, że nie zwraca na nią uwagi, przeciągnęła się i wydała z siebie głośne miauknięcie.

– Wiłka! – Pochylił się i pogłaskał aksamitne futerko na grzbiecie wygiętym w łuk. – Co byś chciała? – Udał, że nie rozumie przymilnych zabiegów kotki, która jak zwykle próbowała wyprosić kawałek aromatycznej słoninki.

Wiłka zamruczała i zniecierpliwiona trąciła głową jego nogę. Uśmiech rozbawienia ozdobił twarz mężczyzny. Znał dobrze upodobania kocicy, gotowa była prosić tak długo, aż dostanie swój przysmak. Nie umiał jej odmówić, miała już swoje lata, lśniące futerko miejscami przetykały srebrne nitki i najchętniej całe dnie spędzałyby w pobliżu pieca, ale jak trzeba było, potrafiła odstraszyć myszy ze spiżarni. Nieraz widział ją w akcji, sprężyste kocie ruchy nie zdradzały jej wieku.

– Ty mały łakomczuchu! – Uległ jej namowom i sięgnął do spiżarni po słoninę, z której odkroił dość spory kąsek.

Kotka zanęcona zapachem otarła się o nogę Jaczewoja, już nie mogła doczekać się uczty. W końcu mrucząc, pochwyciła przysmak i uciekła w odosobnione miejsce, aby pochłonąć zdobycz.

Tymczasem mężczyzna zajrzał do niewielkiej wnęki obok spiżarni. Wystarczyło, że odsłonił błękitną zasłonkę, a serce w jego piersi zabiło mocniej i poczuł przyjemną falę uczuć. Zbliżył się trzy kroki i znalazł się koło rzeźbionej kołyski. Wśród miękkich skór oraz dzierganych kocyków leżało niemowlę, które przebudzone wydawało ciche odgłosy. Jaczewoj pochylił się i ostrożnie wsunął dłoń pod plecki maleństwa. Opierając jego główkę w zgięciu łokcia, uniósł chłopca starannie owiniętego w zawiniątko, na którym widniały ochronne symbole wyszyte czerwoną nicią przez prababkę.

– Witaj, maluszk – szepnął i z czułością pocałował krągłą główkę pokrytą miedzianym meszkiem. – Nudziłeś się sam – zagadnął łagodnym głosem, a szeroko rozwarte oczy w odcieniu błękitnego nieba zapatrzyły się ufnie w twarz mężczyzny. – Przypominasz swoją mamę, gdy tak spoglądasz na ludzi z uwagą. – Opuszkami palca polaskotał maluszka po nosku.

Ludomir, bo tak było na imię chłopcu, ściągnął brwi, otworzył buzię i kichnął trzy razy. Następnie szczęśliwy, że widzi ojca, zamachał rączkami wyswobodzonymi z zawiniątka. Czerwona tasiemka zawiązana na nadgarstku zaraz po narodzinach zamigotała, a na policzkach pojawiły się dwa dołeczki, gdy szczerzy uśmiech ozdobił buzię dziecka.

– Szkoda, że nie ma z nami twojej mamy, przegapiła twój pierwszy uśmiech. – Jaczewoj tęsknie rozejrzał się po izbie, lecz dostrzegł tylko Wilkę, która najedzona z zadowoleniem wylizywała długie wąsy.

Mężczyzna, odganiając tęsknotę, przysiadł na skraju posłania i zanucił kołysankę, którą kiedyś śpiewała mu matka, a później jego siostra swoim synkom. Niespieszna melodia popłynęła z jego ust, otuliła ciasnym kokonem maleństwo i sprawiła, że ukołysany przymknął powieki. Błogi sen spłynął na chłopca, który bezpieczny w ramionach ojca usnął. Nie straszny był mu nawet wiatr, który wzmógł się na zewnątrz i natarczywie szarpał za postukujące głośno okiennice. Silne podmuchy przetaczały się po dachu, szukały szczeliny, aby wdrzeć się do środka. Na szczęście przed zimą Jaczewoj z pomocą przyjaciela zabezpieczył wszystkie szpary. Teraz mógł być spokojny, nie zagrażała im najgorsza zawierucha zesłana przez Marzannę. Martwił się jedynie o żrebną klacz, w każdej chwili mógł zacząć się poród. Od kilku dni była niespokojna, a dziś podczas porannego obrządku dostrzegł, że pękaty brzuch znacznie się obniżył i zaczęła się pocić. Była pierworódką i nie wiedział, czego może się spodziewać. W razie trudności nawet nie był w stanie sprowadzić kowala z portu, trakt został zasypany i nie zdążyłby wrócić na czas. Miał tylko nadzieję, że dworowy przyjmie pozostawioną w stajni ofiarę z chleba oraz owczej wełny i będzie roztaczał opiekę nad klaczą i jej nienarodzonym żrebaczką. Od dziecka widział, jak jego ojciec zawsze tak czynił, gdy któraś z klaczy była żrebna, i nigdy nie stracił konia. Jaczewojowi ciążyła na sercu odpowiedzialność za klacz, która niespodziewanie pojawiła się w ich zagrodzie po święcie plonów. Z początku nie chciał jej zatrzymywać w obawie, że może uciekła od stada należącego do bogatego kupca. Czasy były niepewne i bał się, że posądzą go o kradzież. Groziła za to surowa kara. Dyskretnie rozpytywał rybaków w porcie, tylko im mógł zaufać. Znali się od lat, połączyły ich wspólne interesy. Wraz z bratem Nawojki, Bolemirem, wozili do nich wyprawione skóry, a oni sprzedawali je dalej kupcom. Dzięki temu układowi nie musiał spotykać się z obcymi ludźmi.

Niestety liczne pytania nie przyniosły odpowiedzi i nie dowiedział się, skąd wzięto się w ich zagrodzie zwierzę. Wieść, że jest u niego żrebna klacz, szybko rozniosła się po Leszygrodzie i pojawiło się wielu chętnych, żeby ją odkupić. Jaczewoj wahał się, co zrobić w tej sytuacji. Propozycje były kuszące, sporo chcieli dać za konia, ale Nawoja go powstrzymywała. Kobieta polubiła białą klacz, którą nazwała Śnieżynką, gdyż miała białą sierść. Tłumaczyła, że pieniędzy nie potrzebują. Miała rację, nie żyli rozrzutnie, ale starczało im na jedzenie, odzienie, a nawet kupili kilka kóz i kur do obejścia. Klacz była piękna, ale Jaczewoj nie mógł uspokoić myśli. Zaczął przypuszczać, że jest jednym z dzikich koni, które żyły nad Czerwoną Zatoką. Podejrzewał, że mogła zostać odrzucona przez stado ze względu na nietypowe białe umaszczenie, jedynie między uszami widniała

niewielka, ciemna plamka w kształcie gwiazdki. Próbował ją odprowadzić na wybrzeże, ale klacz za każdym razem wracała. Ostatecznie podjął decyzję po spotkaniu z nietypowym gościem. Dwornika ujrzał pierwszy raz, choć ojciec często powtarzał, że trzeba go szanować i składać mu ofiary, aby zwierzęta były zdrowe. Dobry duszek zapewnił Jaczewoja, że to on powinien zająć się klaczą, gdyż został wybrany. W końcu mężczyzna zrezygnował z poszukiwań i zwierzę zostało z nimi, a on podziękował bogom za zrzucenie losu. Było to duże wyróżnienie, ale i odpowiedzialność. Musiał zadbać o klacz i o źrebaka, który w każdej chwili mógł się narodzić. Czuł, że powinien do niej zajrzeć, ale nie chciał zostawiać synka samego. Podniósł się z posłania i ostrożnie, aby nie zbudzić malca, odłożył go do kołyski. Ominął zdradliwą deskę, która zawsze trzeszczała pod jego ciężarem, i w myślach powtórzył, że na wiosnę musi ją wymienić. Wszedł do głównej izby, kiedy do środka wtargnął silny podmuch wiatru wraz ze śniegiem, który wdarł się za próg, nim zakutana w pelerynę kobieta domknęła drzwi. Strąciła z ramion biały puch i ściągnęła z głowy chustkę. U jej stóp zaraz pojawiła się kałuża, a wyszczypane od mrozu policzki zdradzały, że zbyt dużo czasu spędziła na mrozie. Mąż był przeciwny samotnym wędrówkom po lesie, szczególnie w taką pogodę, ale wiedział, że nie może jej tego zabronić. Nie chciał unieszczęśliwiać Nawojki, której dusza była niespokojna i potrzebowała chwili samotności. Z miłości do niego kobieta zrezygnowała z dalekich podróży i zgodziła się zamieszkać na ojcowiznie, którą pozostawiło jej rodzeństwo. Z początku wzbraniała się i szukała wymówek. Jaczewoj wiedział, że wspomnienia były bolesne i będzie musiała z nimi żyć, ale w końcu ją przekonał, a wszystkie obawy rozwiało wspólne szczęście.

– Czy znowu rozpieszczasz naszego synka? – zapytała z uśmiechem i podeszła do męża. Położyła dłoń na ramieniu Jaczewoja i wspinając się na palce, ucałowała go w policzek. Poczuł zimne wargi na skórze, lecz nie wzdrygnął się na ich dotyk. Objął żonę spojrzeniem. Nie lubił rozstań, nawet tych najkrótszych. Za każdym razem, gdy wymykała się do lasu, zazdrość nieśmiało zakradała się do jego serca, lecz potrafił ją stłumić w zarodku, nim urosła i zawładnęła zmysłami. Nie zamierzał ograniczać jej wolności, była jak dziki ptak, który musi mieć przestrzeń, żeby rozwinąć skrzydła. Przez niewolę straciłby ją bezpowrotnie. Z trudem, ale starał się nie narzekać na jej kolejne wędrówki do chaty leśnej baby, gdy za oknem szalała zima. Niepokój gnieździł się na dnie jego duszy, a do głosu dochodziły obawy, że żona wplące się w kłopoty i on nie zdoła jej z nich wyciągnąć. Już za wiele czasu stracili, kiedy związana obietnicą przez dziesięć lat tkala każdej wiosny koszulę demonowi wiatru. Łatawiec wyznaczył tę cenę za informację i pomoc w odnalezieniu zaklętego w bursztynie serca topielicy. Nawoja bez chwili namysłu ją zaakceptowała. Pchana do działań chęcią odzyskania siostry zapomniiała, że jej dola została ciasno spleciona z losem rudowłosego mężczyzny, którego ocaliła przed Śmiercią. Byli sobie przeznaczeni. Jaczewojowi nie podobał się ten układ, ale nie miał nic do powiedzenia, nie mógł się przeciwstawić, inaczej straciłby ukochaną na zawsze. Dzięki uporowi Nawoi jej najmłodsza siostra odzyskała swoje serce i przestała być zjawą na mokradłach, a on wreszcie miał żonę dla siebie. Czy na pewno dla siebie? Uśmiechnął się w duchu na myśl o śpiącym w kołysce Ludomirze. To był ich mały synek, na którego tak długo czekali. Bezceremonialnie zawładnął ich całym światem, podporządkował swoim potrzebom.

– Gdzie tak błądzisz myślami? – Nawoja przyjrzała się z uwagą mężowi, który wyrwany z rozmyślań stał tuż przed nią.

